

Himalaje - Nepal 2005 - Idea Fix i co dalej..  
Odcinek 1. Przylot do Nepalu, Kathmandu, Lukla, Monjo.



Wyprawa do Nepalu i w Himalaje zapisała się w moim sercu pięknymi widokami i niezapomnianymi wrażeniami.

Zobacz jak tam świeci słońce, a może również usłyszysz, jak huczy mroźny wiatr.



Miło mi pokazać Ci zdjęcia Mojej Ukochanej Góry. Z tej odległości mogłam na nią patrzeć do woli.



Zawsze marzyłam, aby kiedyś na własne oczy zobaczyć Mont Everest. Zbliżyć się do tej góry tak blisko, na ile jest to w mojej kondycji możliwe. Była dla mnie potężna i niedostępna. Dostojna, sroga i nieprzewidywalna.

Od kilku lat oglądałam w mediach i czytałam wszystko, co na jej temat wpadło mi w ręce. Jednakże o górskiej wspinaczce nie mam zielonego pojęcia, a na myśl o długiej wędrówce pod górę bolał mnie nogi. Postanowiłam jednak znaleźć jakiś dobry i zarazem bezpieczny dla siebie sposób, aby się do Everestu zbliżyć. Byłoby to spełnienie mojego największego i dotąd nierealnego marzenia. Ale skoro innym się udaje, to dlaczego miałoby nie udać się mnie?

Rozpoczęłam intensywne poszukiwania w sieci i surfowałam po stronach słynnych himalaistów. Z pewnością organizują komercyjne wyprawy.

Marzenia jak ptaki szybują po niebie..



Znalazłam stronę Łukasza Walla, wielkiego podróżnika z Wrocławia. On wybierał się na wyprawę w sierpniu, do Tybetu, Chin i Nepalu. Jego grupa miała poruszać się po trasie komfortowo, bo jeepami. To było dla mnie idealne rozwiązanie. Jednakże kiedy przeczytałam program, okazało się, że moja wymarzona góra była ujęta w planie Łukasza tylko na kilka godzin i pod koniec wyprawy. Priorytetem były klasztory, świątynie, zabytki kultury i pomniki przyrody: jeziora, rzeki i wodospady. Tak więc program był ciekawy, ale nie do końca bliski moim oczekiwaniom. Zadzwoiłam jednak do Łukasza, zgłosiłam swój udział i wpłaciłam pierwszą ratę.

Równolegle w tym czasie, kolega zdobył dla mnie numer telefonu do Mariusza Deca, znanego krakowskiego przewodnika wypraw trekkingowych. Zna Nepal jak własną kieszeń i jesienią 2005 roku organizował wyprawę w samo serce najwyższych himalajskich ośmiotysięczników : Everestu, Makalu, Lhotse i Cho Oyu.

Miałabym przemierzać te szlaki butami? Ojoj..

Uznałam jednak, że program Mariusza, choć dla mnie o wiele trudniejszy, bliższy jest moim preferencjom, a marzenie zobaczenia Everestu warte największych poświęceń. Łukasz Wall był tego samego zdania.

W grupie Mariusza znalazło się dla mnie wolne miejsce i z dnia na dzień temat nepalskiej wyprawy nabierał kolorów tęczy.



Rozpoczęłam przygotowania do tej największej przygody mojego życia i równocześnie z zainteresowaniem dzień po dniu towarzyszyłam wirtualnie wyprawie Łukasza Walla. Serce zabiło mi mocno, kiedy pewnego poranka napisał do mnie sms-a, że za kilka godzin staną oko w oko z Everestem.

To była niesamowita wiadomość i świąteczny dla mnie dzień. Oczywiście wyobraźni byłam razem z nimi gdzieś tam w Tybecie.

Łukasz Wall do dzisiejszego dnia jest moim globroterskim autorytetem i mamy ze sobą sympatyczne i przyjacielskie relacje. Kiedy wrócił do Polski, podarował mi płytę ze zdjęciami i piękną tybetańską muzyką. Warto również nadmienić, co nie zawsze jest oczywistą oczywistością, że jeszcze przed wylotem do Tybetu zwrócił mi pieniądze z tej pierwszej raty, gentelmański i miły gest.



Na spotkaniu organizacyjnym naszej nepalskiej grupy Mariusz przedstawił nam całą trasę wraz z mapkami i warunki, w jakich będzie odbywał się trekking.

Pozostawała kwestia potrenowania kondycji i zakupu odpowiedniego sprzętu: solidnych butów na kamieniste trawersy, ciepłej odzieży, puchowego śpiwora przynajmniej na - 10 stopni, dużego plecaka, przeciwwiatrowej kurtki, latarki czołówki i wielu innych niezbędnych przedmiotów i lekarstw.

**Plan był taki:** cała grupa spotyka się na lotnisku Okęcie w Warszawie i stamtąd lecimy do Wiednia, a następnie do Kathmandu. Ja poprosiłam Mariusza o bilet nie z Warszawy, lecz z Krakowa do Wiednia. Było mi bliżej dojechać do Balic i nie traciłam jednego dnia na dojazd i nocleg w stolicy. I to był mój błąd.

### Wyprawa 3 - 25 listopada 2005.

Z pełnym plecakiem niepodważalnego optymizmu pojawiłam się o 5 rano na krakowskim lotnisku. Rzeczywistość zafundowała mi nie lada niespodziankę. **MÓJ LOT DO WIEDNIA został z przyczyn technicznych ODWOŁANY !!!**

Nie mam czym się dostać do Austrii, a następny samolot z Wiednia do Katmandu odlatuje za tydzień.

Byłam tak bardzo zaskoczona, że aż zabrakło w moim umyśle miejsca na stres. Jak to, to ja dzisiaj do Nepalu nie polecę?

Proponowałam paniom z obsługi lotniska szalone rozwiązania z helikopterem włącznie, były jednak nieczułe na moje propozycje i po prostu chciały mi zwrócić pieniądze za bilet. O nie!

W końcu widząc moją determinację, po dokładnej analizie wszelkich możliwych połączeń, LOT zaproponował mi połączenie do Kathmandu poprzez śląskie, potem niemieckie, a następnie indyjskie lotnisko.

Zastanawiałam się tylko chwilę. Wybór był jeden - lecieć.

Ze strachem na ramieniu, bo to było dla mnie trudne, nowe doświadczenie czy sobie poradzę, zostałam zapakowana do lotniczej taksówki i zawieziona do Katowic. A potem pofrunęłam do Nepalu okrężną drogą:

- Katowice,
- Frankfurt,
- Delhi,
- Kathmandu.

W Katowicach-Pyrzowicach na niemieckie połączenie czekałam 6 godzin, w Monachium 4 godziny, ale najdłużej dogorywałam w Delhi, bo 7 godzin.

W każdym razie, zamiast poświęcić ten jeden dzień na Warszawę i lecieć z całą grupą z Wiednia do Katmandu i być na miejscu tego samego dnia o 16.30, spędziłam w podróży i na długich oczekiwaniach łącznie 28 godzin i ledwo żywa, spóźniona o cały jeden dzień wylądowałam w Nepalu.

Wniosek: Jeśli się chce realizować dalekosiężne marzenia w dalekim świecie, to trzeba uwzględnić nocleg w Warszawie. I potem już zawsze tak było.



Z Katowic do Frankfurtu.



Lotnisko we Frankfurcie.



Frankfurt ma wielkie lotnisko, po którym jeździ się metrem na dwóch kondygnacjach. Bardzo łatwo się tu zgubić, ale miałam swoje australijskie sposoby i jakoś udało mi się znaleźć ten właściwy, jeden z kilkudziesięciu wszystkich gejtów.

Jeszcze wczesnym rankiem, zanim wyjechałam z Krakowa do Katowic, utrzymywałam łączność komórkową z moją grupą. Potem oni musieli wyłączyć telefony bo byli w warszawskim samolocie. Umówiliśmy się, że będą na mnie czekać w Kathmandu. Całe szczęście, że w Kathmandu mieliśmy jeden dzień luzu przeznaczony na aklimatyzację, a trekking zaczynał się dopiero w drugim dniu. Ten czas mogłam teraz przeznaczyć na dołot. Wprawdzie nie miałam ze sobą nazwy hotelu, gdzie się zatrzymają, ale liczyłam na to, że wszystko poukłada się dobrze, bo telefony będą działać i na pewno się spotkamy.

Na lotnisku we Frankfurcie.



Teraz do Delhi.





Ależ miałam cykora. I nie chodziło o same przeloty, lecz czy poradzę sobie bez dobrej znajomości angielskiego języka i czy nie spotka mnie coś nieprzewidzianego. Wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach.

Najtrudniejsze i najbardziej męczące było dla mnie oczekiwanie w Indiach, na lotnisku w Delhi. Pod powiekami czułam piasek, a nie mogłam zmrużyć oczu, bo cały swój wyprawowy majątek miałam obok siebie, a chętnych na mój bagaż w tym biednym kraju było zapewne wielu.

W Delhi.





Zmęczenie spowodowane szukaniem właściwych punktów odpraw, dogadywaniem się z obsługą lotniska, oczekiwaniem i lotem następnej przestrzeni nieba, dokuczało okropnie. Byłam jednak coraz bliżej celu i ta myśl pozwalała jakoś ten czas przetrwać.



Za siedem godzin ta pani odbierze ode mnie kartę pokładową i wkrótce wsiądę w ostatni już w swej podróży samolot do Nepalu. Egzotycznie tutaj.



Byłam już coraz bliżej moich towarzyszy..

Że też mi się w głowie nie zakręciło od tego latania. Lot potrwa 1,5 godziny.



Lotnisko w Kathmandu.



Kiedy zobaczyłam oczekujących tu na mnie Mariusza i jego nepalskiego asystenta Hirana, to pomimo, że staniałam się z nóg, byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Nie wiem, czy zdecydowałabym się na ten odważny krok, gdyby nie fakt, że już kiedyś leciałam w Australii na drugi koniec jej kontynentu. Wówczas także byłam postawiona przed podobnym murem.

Nareszcie byłam wśród swoich. Mariusz i Hiran założyli mi na szyję powitalny kwiatowy laur i pojechaliśmy do hotelu. Odetchnęłam z ulgą. Z Hiranem.



W hotelu zawiadomiłam bliskie osoby w Polsce, że cała i zdrowa dotarłam do Nepalu, a potem Mariusz przykazał mi przespać się do kolacji, na której poznałam współtowarzyszy wyprawy, byli ciekawi mojej podniebnej przygody-tułaczkii. Zjedliśmy co kto sobie wybrał i ustaliliśmy porządek następnego dnia.

O grupie napiszę Ci wkrótce.



LOT łaskawie potraktował moje podanie i wypłacił mi rekompensatę w wysokości 78 zł za napoje i posiłki w drodze. Stres nie był wzięty pod uwagę.

Pierwsza noc na wyprawie.



Rankiem zdążyłam jeszcze zrobić krótki rekonesans po ożywionym centrum Kathmandu, a potem już wszyscy pakowaliśmy plecaki na miejscowe lotnisko i przelot do Lukli.



Właściciel motoriksy zachęca do przejażdżki po mieście.



Nasze duże plecaki składamy na dachu busa.



Tą awionetką polecimy. Pomieści łącznie 20 osób. Na niebie wszystko w niej klekoce.



Dolecieliśmy.

W Lukli (2860) rozpościera się wielki obszar najwyższych himalajskich szczytów. To tu należy dotrzeć, aby dalej wyruszyć w wysokie góry. Jest to jedyny w Nepalu wyjściowy punkt z lotniskiem dla wszystkich wypraw trekkingowych i alpinistycznych. Z Kathmandu (1355) leci się tu około godziny.

Lukla ma małe lotnisko z krótkim, kilkusetmetrowym pasem startowym. Strach patrzeć, jak ten kawałek asfaltu urywa się tuż nad przepaścią.





Nasz hostel. Są tu łóżka z cienkim materacem, bez pościeli, ale mamy ze sobą niezbędne puchowe śpiwory, bo noce w górach są chłodne.





Zostawiamy manele na świetlicy i idziemy na dwugodzinny rekonesans po okolicy. Jutro rozpoczynamy trekking, to trzeba trochę zaprawić się w tych górach. Mój jest plecak w worze w kratkę, najlżejszy z wszystkich, bo nie lubię dźwigać.





Warzywa najlepiej wysuszyć na blaszanym dachu, który dobrze rozgrzeje słońce.

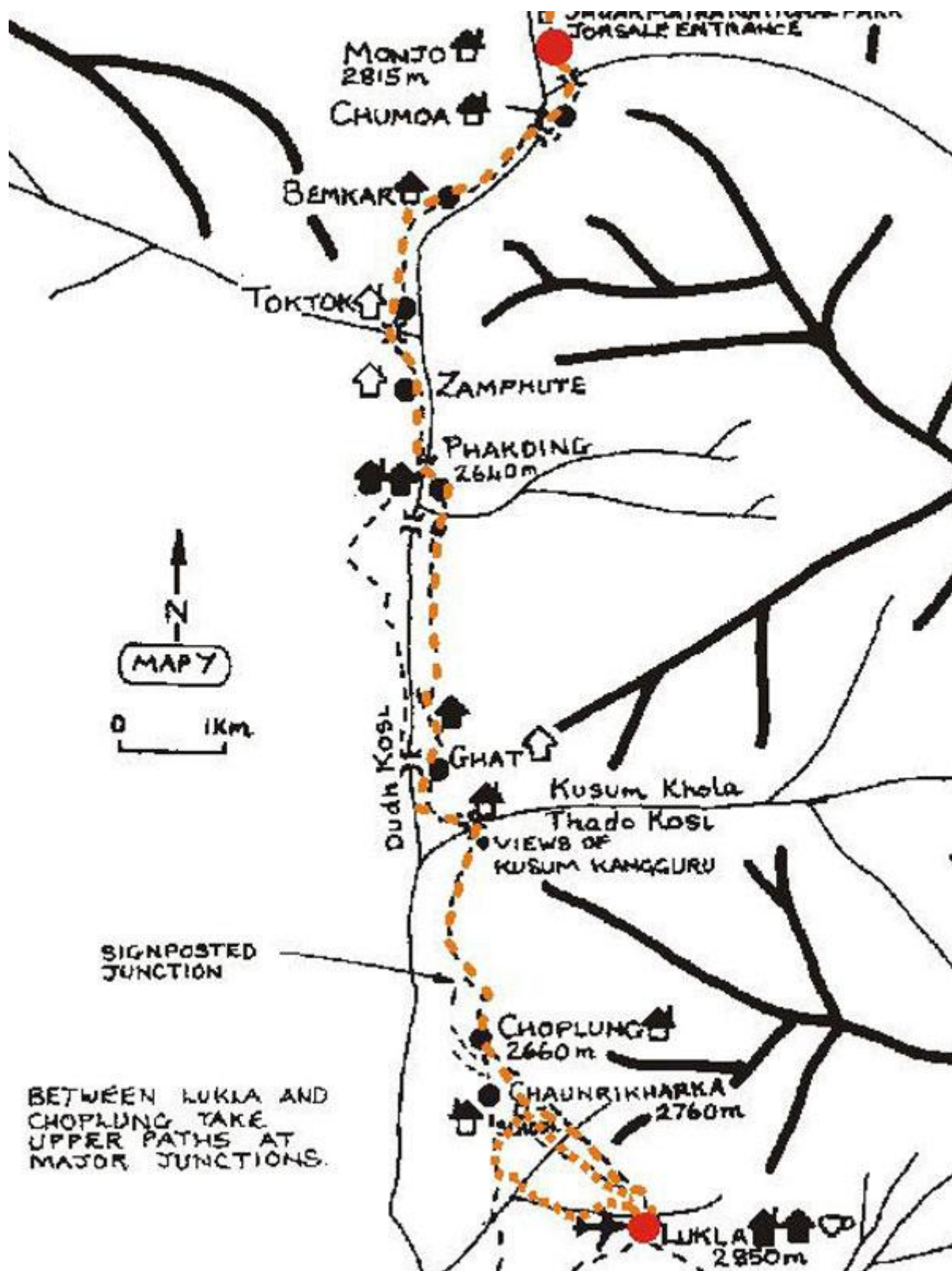


### Trekking.

Pierwszego dnia docelowym punktem jest [Monjo](#). Uzgodniliśmy, że część grupy, która nie czuje się na siłach, aby dźwigać kilkunastokilogramowe plecaki, powierzy je szerpom. To dla nich czasem jedyna praca zarobkowa. Tak więc kilku kolegów poniesie samodzielnie, a większość grupy tylko małe podręczne plecaki na butelkę wody, aparat fotograficzny i potrzebne na trasie drobiazgi.

Wyruszamy z [Lukli do Monio](#). Marszu mamy około 6-7 godzin.





Kamienista droga raz wznosi się, to znów opada. Mijamy po drodze piękne szczyty, przechodzimy wzdłuż rwących górskich potoków lub po linowych mostach zawieszonych ponad rzekami i ozdobionych modlitwymi chorągiewkami.

W [Monjo](#) (2815) zostajemy na nocleg i wczesnym rankiem wyruszamy w dalszą trasę. Idziemy do Parku Sagarmatha. Tu w pomarańczowoczarnym polarze nasz Mariusz-boss, w czerwonej kurtce Bartek i obok niego Daniel.



Tyle bagaży potrafi udźwignąć szerp (około 25 kg).



Cały trekking trwał 15 dni. Każdy z nas miał od Mariusza mapki na poszczególne dni z wytyczoną trasą. Były na niej zaznaczone nazwy geograficzne, najważniejsze odcinki szlaku i poziomy wysokości, na których się akurat znajdowaliśmy.

W Monjo rozpoczyna się Narodowy Park Sagarmatha z piętrzącymi szczytami. Aby wejść na jego teren, trzeba wykupić pozwolenie od władz nepalskich (za 15\$) Cały obszar tego ogromnego parku jest monitorowany przez wojsko.





Już jesteśmy na terenie Parku Sagarmatha. Akurat tu na końcu Janusz, a przed nim objuczeni szerpowie.

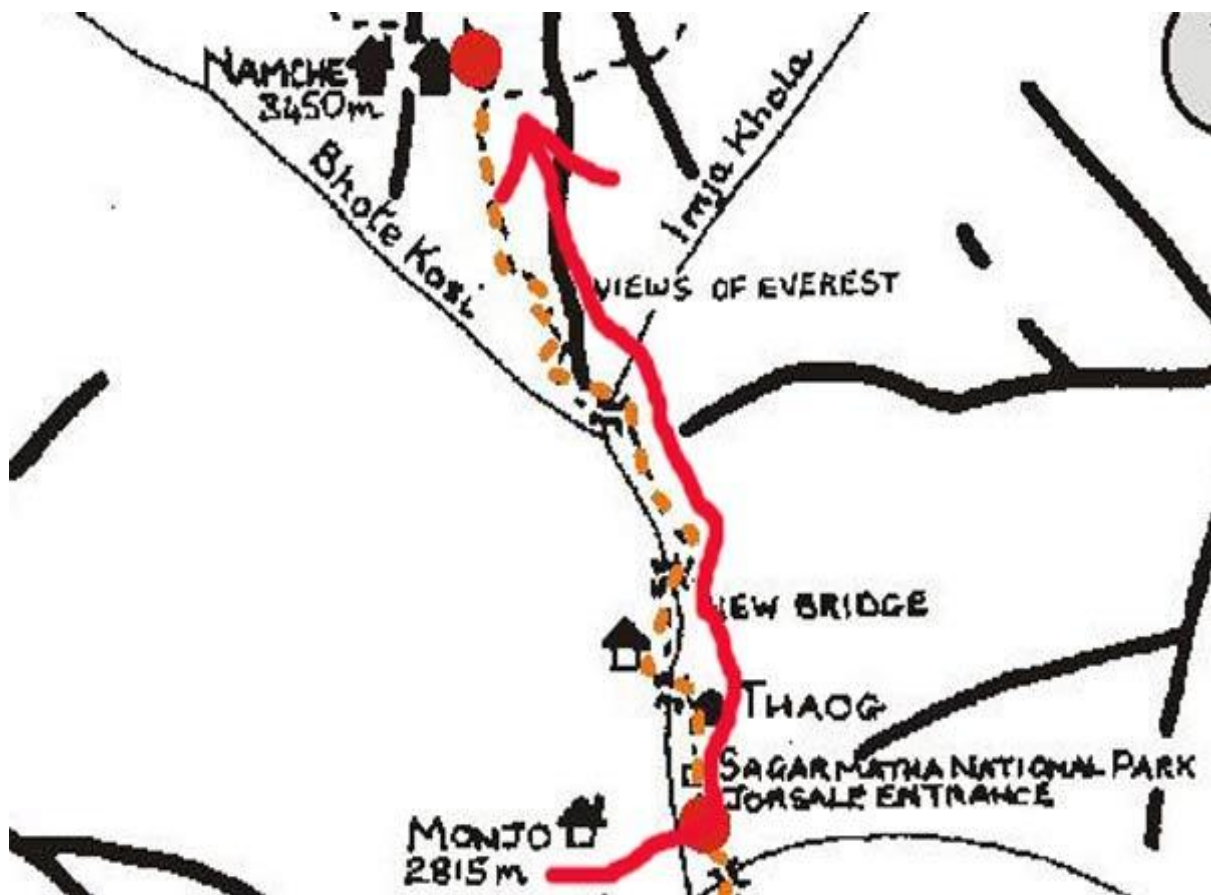


Będzie okazja, abym Ci pokazała buzie grupowiczów, a tymczasem łapię w mój obiektyw ich postacie w niepozowanych sytuacjach.

Tu Mariusz tłumaczy coś dziewczynom, a przysłuchuje się temu Grzegorz.



Celem drugiego dnia jest Namche Bazaar (3450).







Nepalskie bydło czyli jaki mijamy lub one nas prawie przez cały czas. Na takiej szerokiej jak poniższa ścieżce krzywdy nie robią, ale na wąskiej należy mieć się na baczności, bo mogą chcieć udowodnić, kto w tych górach jest panem sytuacji. Dzwonki, które mają zawieszane u szyi, są oprócz ptactwa muzyką całego tego górskiego szlaku.





Każdego dnia wyruszaliśmy o wczesnym poranku po śniadaniu (omlet, jajecznicą, herbata imbirowa) i wędrowaliśmy około 7 godzin. Wprawdzie Mariusz i jego asystent Hiran pocieszali, że trasa jest kilkugodzinna, ale wkrótce przekonaliśmy się, że trzeba doliczać tzw. współczynnik Deca i dołożyć jeszcze nawiązkę. Byliśmy jednak pełni energii i entuzjazmu. W moim sercu rozbudził się zew wspaniałej choć trudnej przygody.



Niesamowicie życzliwy i mądry doświadczeniem Mariusz Dec i Hiran, nasi opiekunowie. Dobry przewodnik na trudnej trasie to skarb.



Bardzo pomocne były podczas marszu kijki. Wtedy napięcie mięśni inaczej się rozkłada i łatwiej jest iść. Nie wszyscy sportowcy mieli więc szerpowie zaopatrzyli nas w solidne drewniane kije.

Droga miała czasem kilkusetmetrowe przewieszania, a podpierając się kijem dogodniej było poradzić sobie ze stromymi podejściami.

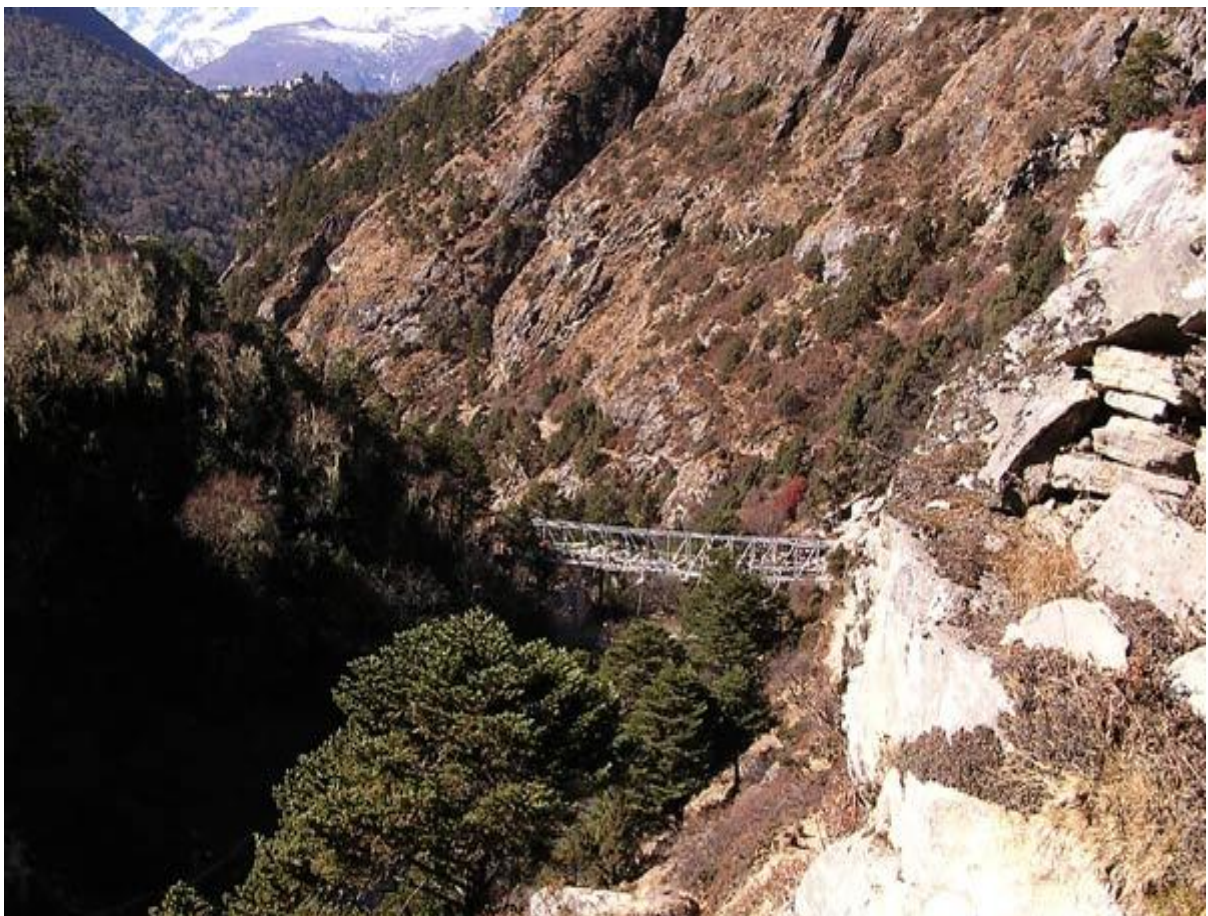


Po drodze mijaliśmy małe wioski i widziałam, w jakich prymitywnych warunkach żyją tutaj ludzie. Woda z potoku, drewniane chatynki wysoko na wzgórzach, brak dróg, prąd jeśli w ogóle jest, to z generatora. Ale ci ludzie żyją tu od zawsze i mają swoje powody do szczęścia.



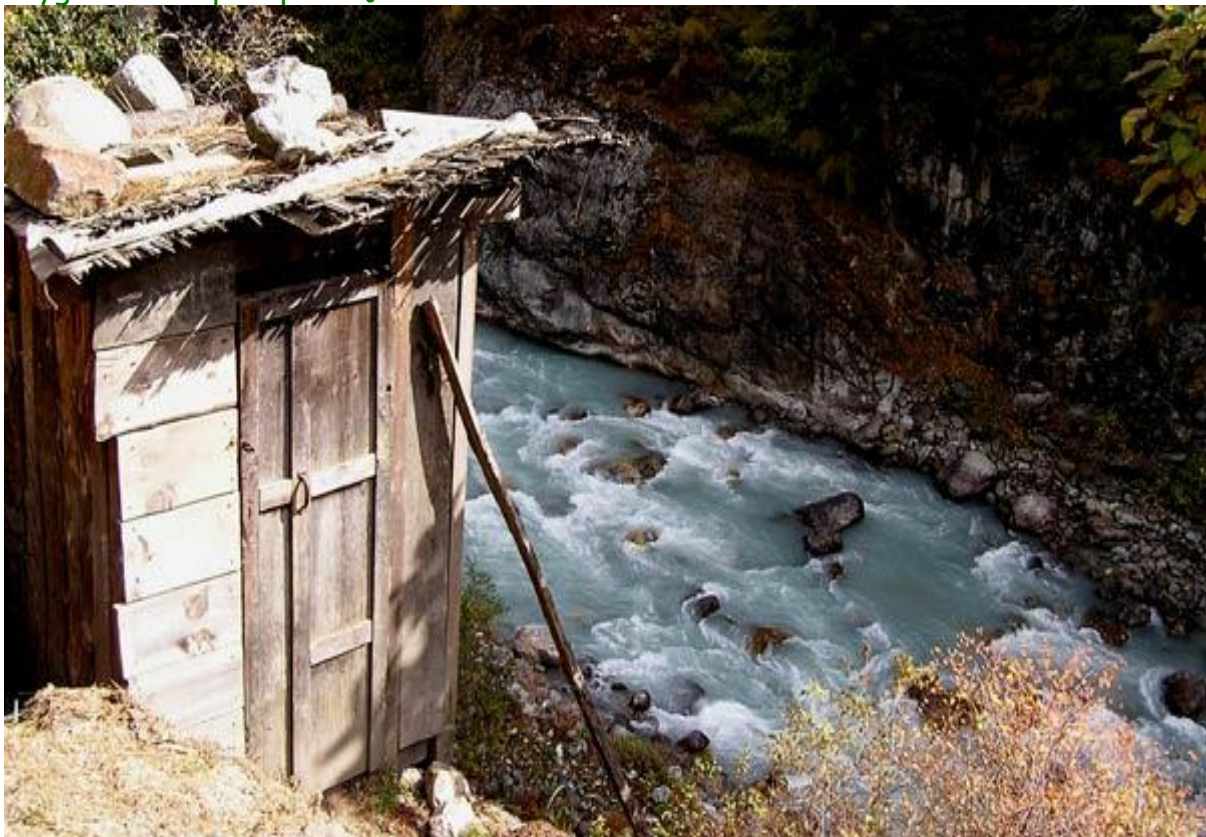


Potężne Himalaje zaakceptowały tybylców i żyją z nimi w symbiozie. Nepalczycy zaś na przestrzeni wielu lat zahartowali się tak bardzo, że kiedy my mieliśmy na sobie puchowe kurtki i solidne trekkingowe buty, oni jedynie cienkie koszulki i sandały.





Wygódka nad przepaścią.



I tak szliśmy godzina za godziną zatrzymując się co jakiś czas, aby przysiąść na kamieniu i podziwiać górskie krajobrazy i przypatrywać się himalajskiej codzienności.



Pierwszy raz zobaczyłam Mount Everest w odległości około 10 kilometrów od szczytu już trzeciego dnia. Było to na drodze do Namche Bazaar. Skrywał się między świerkami, cały w słońcu. Znałam na pamięć prawie każdą jego grań. Serce zabiło mi mocno. Na ten moment czekałam tyle lat!

Co wtedy czuje człowiek? Nie da się ująć w słowa tej euforii i radości, która rozpiera duszę. Nagle okazuje się, że to, co było tylko w sferze mojej przefantazjowanej czasem wyobraźni, staje się faktem. Piękne uczucie.

Taka Jesteś - powiedziałam do Góry.

Zatrzymał się dla mnie czas.. Gdyby w pobliżu było jakieś schronisko, to nie wiem czy poszłabym dalej:)



Jeszcze w Polsce postanowiłam sobie, że jak zobaczę Everest, to uklękę i podziękuję Bogu za to, że mimo wszystko potrafiłam tu dotrzeć. Że pomimo braku górskich umiejętności doszłam tym trudnym szlakiem.

Ale nie zrobiłam tego, pokonały mnie konwenanse.





Ruszyliśmy w dalszą drogę. Mariusz pocieszał mnie, że jeszcze nie raz Everest będzie nam towarzyszył i wynurzał się spośród innych okalających go szczytów. Przed nami było jeszcze kilka kilometrów do Namche Bazaar.

Do zobaczenia w kolejnym nepalskim odcinku.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Zielona Gałązka

